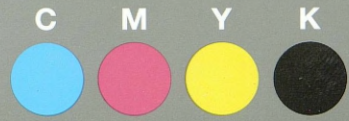


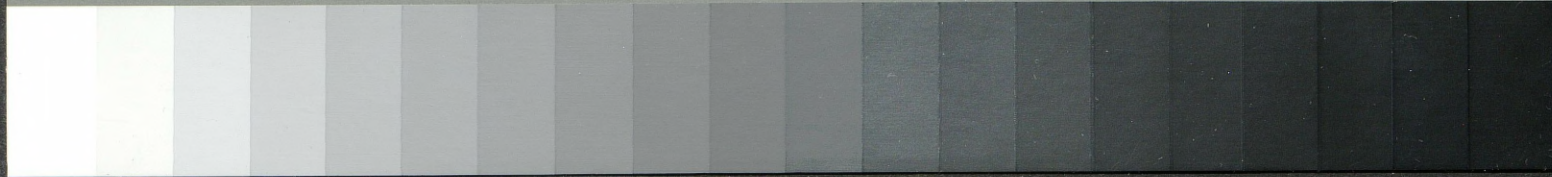
Grey Scale #13



Part Code
5T1316

DANES
-PICTA
.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



STEFAN SURZYCKI
PROF. UNIW. JAGIELLOŃSKIEGO

K A R T K A
Z DZIEJÓW ROSYJSKIEGO
WYCHOWANIA PAŃSTWOWEGO
W P O L S C E

W A R S Z A W A 1 9 3 3



STEFAN SURZYCKI
PROF. UNIW. JAGIELLOŃSKIEGO

K A R T K A
Z DZIEJÓW ROSYJSKIEGO
WYCHOWANIA PAŃSTWOWEGO
W P O L S C E

W A R S Z A W A 1 9 3 3

K A R T K A
Z DZIEJÓW ROSYJSKIEGO
WYCHOWANIA PAŃSTWOWEGO
W POLSCE

STEFAN SURZYCKI
PROF. UNIW. JAGIELLOŃSKIEGO

K A R T K A
Z DZIEJÓW ROSYJSKIEGO
WYCHOWANIA PAŃSTWOWEGO
W P O L S C E

W A R S Z A W A 1 9 3 3

WYDZIAŁ KULTURY
ODDZIAŁ KULTURY

ODBITKA Z „MYŚLI NARODOWEJ”



GRZEBIAĆ się we wspomnieniach z lat ubiegłych, z przeżyć osobistych i ogólnych, przypomniałem sobie epizod z lat moich szkolnych, związany z Zaduszkami przed 50 laty, w 1882 r. Ożyły w mojej pamięci te chwile, związane w tym dniu z wykryciem naszej organizacji tajnej, uczniowskiej w gimnazjum Lubelskiem przez dyrektora Siengalewicza i przeniosłem się myślą do owych ciężkich, ponurych czasów, które wówczas młodzież polska przeżywać musiała. Po 50-ciu latach wspominam te czasy ze wstrętem do tych metod, jakich wobec nas wówczas używano, chcąc nas wychować po rosyjsku, „państwowo“.

Z pewnością we wszystkich szkołach w Królestwie kierunek, nadany rosyjskiemu wychowaniu państwowemu, był jednakowy: gdy czyta się wspomnienia Żeromskiego z tych czasów w kieleckim gimnazjum, — pracę Dmowskiego o młodzieży polskiej w zaborze rosyjskim i pracę o gimnazjach rosyjskich w Polsce, to widzi się wszędzie tę chęć zduszenia wszelkiej swobodniejszej myśli u młodzieży, chęć zniszczenia i ugięcia pod but „państwowy“ aspiracji młodych „*prywiślińców*“, nie tylko pod względem narodowym ale i ogólnoludzkim.

THE UNIVERSITY OF CHICAGO
LIBRARY
1215 EAST 58TH STREET
CHICAGO, ILL. 60637
U.S.A.
TEL. 733-4331
Circulation Department
3121
JAN 10 1964

1. SPECJALNE METODY WYCHOWANIA PAŃSTWOWEGO DYREKTORA SIENGALEWICZA

JEDNAKŻE Gimnazjum Lubelskie pod dyрекcją Siengalewiczа było, pod względem najsilniejszego stosowania owego państwowego wychowania, najbardziej głośnem i wyraźnem w Polsce. Poświęcić więc należy trochę uwagi owym wschodnim metodom, które spaczyły moralnie, niestety, charaktery wielu pokoleń naszej i rosyjskiej młodzieży, nie przynosząc w ostatecznym rezultacie żadnej korzyści nawet dla t. zw. państwowości rosyjskiej, przeciwnie, wychowując obok najpodlejszych służalców i kanaliż w życiu publicznem i prywatnem, także najzjadliwszych przeciwników systemu rządowego—przyszłych bolszewików.

W 1874 roku, gdy oddano mnie do wstępnej klasy Gimnazjum w Lublinie, został właśnie przeniesiony ze stanowiska Inspektora przy Gimnazjum w Zamościu na Dyrektora w Gimnazjum Lubelskiem—Siengalewicz. Poprzedziła go już opinia sprężystego i surowego wychowawcy, ale rzeczywistość znacznie prześcignęła tę opinię. Były to czasy nawracania na Podlasiu i Chełmszczyźnie „opornych“ unitów na prawosławie. Rząd rosyjski, nie mając dostatecznej ilości odpowiednich dla tego celu urzędników, sprowadzał ich w znacznej ilości z Galicji Wschodniej z moskalofilskich szeregów ruskich. Między nimi był i Siengalewicz, podobno przedtem suplent gimnazjum w Stanisławowie,

pochodzący z rodziny ruskiej, w części dawniej spolonizowanej, ale odradzającej się w zapamiętaniem moskalofilstwem, opartem na karierze urzędniczej w służbie rosyjskiej. Sam się przyznawał (mojemu stryjowi), że pochodził ze szlachty polskiej na Wołyniu i że był uczniem profesora Małeckiego, doktoryzowanym na Uniwersytecie Lwowskim. Przeszedł więc wychowanie polskie w gimnazjum polskim, a nawet przy badaniach śledczych, o których później powiem, zwierzał się, że należał do tajnych narodowych polskich kółek uczniowskich. W Królestwie wówczas były to czasy kuratora Wittego, zrusyfikowanego Niemca, który miał za zadanie szkoły nasze, urządzone pod wpływem i kierunkiem Al. Wielopolskiego, powoli zrusyfikować w duchu państwowym rosyjskim. Oczywiście, ta rusyfikacja szkół i nagięcie ich do celów państwowych wychowania nie mogły być odrazu ostro postawione — w braku sił nauczycielskich rosyjskich, trzeba było powoli te reformy przeprowadzać, i dlatego w Warszawie i w wielu gimnazjach prowincjonalnych nie występowano zrazu gwałtownie. Znaczna część nauczycieli Polaków jeszcze pozostawała, jednakże systematycznie zaczęło wszystkich „nieprawomyślnych“ nauczycieli Polaków usuwać, sprowadzając na ich miejsce Rosjan, często moralnie bardzo nisko stojących, ale oddanych ślepo tej rosyjskiej idei państwowej i zwalczających t. zw. tendencje liberalne. W Lublinie, blisko terenów unickich, gdzie nacisk i nawet terror rządowy, rუსyfikacyjny silniej się dawał odczuwać, niż gdzieindziej, Siengalewicz postawił sprawę wychowania państwowego rosyjskiego odrazu, od przyjęcia swojego, bardzo ostro i gwałtownie. Oddziaływał strachem, terrorem na nauczycieli i na uczniów. Zakaz mówienia po polsku i w szkole, i na

stancjach uczniowskich, a nawet na ulicy był przez niego bezwzględnie przeprowadzany, jak również ściganie jakichkolwiek książek polskich w rękach uczniów. Wykład religii katolickiej w języku rosyjskim przez niego najpierwej w Królestwie został również z największą stanowczością zastosowany — dzięki słabej woli i brakowi oporu jednego z katechetów ówczesnych.

Ale poza najzacieklejszem rusyfikowaniem i prześladowaniem w nas polskości, terror jego przenosił się na dziedzinę wogóle uczuć ludzkich, chciał w nas zgniebić i zdusić poczucie wszelkiej godności osobistej, zniewalając do poniżania się w służalstwie, schlebianiu, w donosicielstwie jednych na drugich. System szpiegowania rozwinął jaknajszerzej bez żadnych nawet osłonek. Doprowadził do tego, że uczniowie obawiali się w szkole z sobą otwarcie mówić, bo nie byli pewni, czy nie doniosą się ich rozmowy do uszu dyrektora. Oczywiście, tembardziej obawiali się nauczyciele nasi, zwłaszcza Polacy, rozmawiać otwarcie z uczniami, żeby nie być posądzonymi o nieprawomyślność i nie uleść usunięciu zupełnemu, lub przeniesieniu na inne, gorsze stanowisko w progimnazjach albo do szkół w głębi Rosji.

Na biednych uczniaków, czy z niższych, czy z wyższych klas oddziaływał zawsze tylko groźnym krzykiem, wrzaskiem, który nie wynikał z chwilowego afektu, tylko na zimno był stale używany, jako środek postrachu. Nigdy żaden uczeń nie był pewny, czy spotkawszy gdziekolwiek dyrektora, na korytarzu, w klasie, czy nawet na ulicy, nie dozna od niego jakiejś obelgi słownej, w najprzkrzejszych wyrazach. Nigdy żaden uczeń nie był też pewny, czy, choćby przygotowany najlepiej do lekcji, nie zostanie najniespodziewaniej „oblany“

pod najbłahszym pozorem. Wykładał zwykle od 5-ej do 7-ej klasy, często łacinę i grekę, a także historję: było z jego strony największą przyjemnością dręczyć nas zadawaniem ogromnych ustępów na jedną lekcję z „Iljady“ Homera, czy innych utworów greckich albo łacińskich, czy też wykazów bogów greckich i rzymskich z ich dodatkowemi imionami lub spisem licznych miast i wysp greckich, czego słuchał, patrząc w swoje książki, żeby niczego nie opuścić, karząc każdą pomyłkę lub opuszczenie złym stopniem z postępów w nauce, a często także z zachowania.

Każdy z nas, idąc do szkoły, modlił się tylko o to, żeby mu się udało cało wrócić do domu, to znaczy bez usłyszenia jakiejś obelgi, złej noty lub wydalenia z czasowego szkoły. Ten ostatni środek, to jest czasowe wydalenie, często stosował, zazwyczaj poprostu po to, żeby tylko dokuczyć i uczniowi i rodzicom. Musieli wtedy chodzić rodzice do niego i błagać go o przyjęcie, co zadowalało jego próżność; bywało jednak, że nie dawał się ubłagać, i wówczas dla błahych powodów musiał taki uczeń zabierać swe papiery i starać się o przyjęcie w innym gimnazjum, co nie było łatwem, zarówno z powodu braku miejsc w innych gimnazjach, jak również i trudności materialnych, związanych z przeniesieniem chłopca dla rodziny, pozostającej na miejscu, a wreszcie i dlatego, że Siengalewicz posyłał za swym dotychczasowym wychowankiem doniesienia do dyrekcji szkoły w nowym jego miejscu pobytu, ostrzegając przed nim. Ta groza wydalenia, którą często szafował bez przedstawienia sprawy Radzie Pedagogicznej Gimnazjum (*Pedagogiczeskij Sowiet*), i z błahych powodów, (np. raz byłem wydalony za rozmowę po polsku, a raz, i to w 8-ej kl., za niedopięcie munduru na kilka z 9-iu guzików), najbar-

dziej działała na terroryzowanych chłopców. Przez 11 lat pobytu swojego w gimnazjum w Lublinie (1874 — 1885), byłem, o ile sobie przypominam, 5 czy 6 razy wydany przez Siengalewicza ze szkoły — na krócej, to jest na kilka dni lub tydzień, albo i na dłużej — na przeszło miesiąc, będąc wciąż w obawie, że wydalenie będzie ostateczne. Bywali wszakże uczniowie wydani jeszcze częściej, tak że zrozpaczeni rodzice już sami woleli zabierać papiery i przenosić swoich chłopców gdzieindziej. Niedawno zmarły w Lublinie kolega mój, ś. p. dr. Adam Brzeziński, po kilkakrotnem wydaniu przez Siengalewicza, musiał opuścić Lublin i przenieść się aż do Kamieńca Podolskiego, choć rodzice pozostali w Lublinie, bo bliżej nie można było nigdzie znaleźć miejsca.

Poza owem wydaniem czasowem, które kończyło się jeszcze szczęśliwie, gdy tylko obniżeniem stopnia ze sprawowania, kilku lub kilkunastogodzinnym karcerem, oraz poza ostatecznem wyrzuceniem ze szkoły, niejednokrotnie stosowano i kary cielesne: początkowo bezpośrednio wykonywano je zaraz, z polecenia samego Siengalewicza, na dotkniętym tą karą delikwencie, później zaś, gdy z powodów błahych stosowane, stały się zbyt częste i jaskrawe, kary takie wymierzała Rada Pedagogiczna, oddając wykonanie samym rodzicom, z zagrożeniem wydalenia, o ileby rodzice tego nie spełnili. Zdarzały się wypadki, że rodzice uciekali się do świadczeń lekarskich, które z powodu zdrowia wykonania chłosty zabraniały; wówczas albo wydawano albo zamieniano te kary na długotrwałe karcery, obniżenie stopnia z wychowania. Trzeba rozumieć ten ciągły, bezustanny terror, wywierany na małych uczniakach, ściganych codziennie przez te wszystkie krzyki, wymysły, obelgi słowne, zagrożenia karą

cielesną, groźby wydalenia i samo wydalenie, ażeby pojąć, jak powoli wytwarzała się osobliwa psychoza tych małych duszyczek, doprowadzająca je do nieustannego lęku, drżenia o byle co, do powolnego upodlania się, uniżania się przed władzą szkolną, uosobioną w Siengalewiczu i jego pomocnikach: inspektorze oraz o 2-ch wychowawcach (t. zw. *klassnyje nastawniki*), którzy wciąż od rana do nocy z nadzorem wisieli, a nawet na stancjach uczniowskich i w nocy, gdy dokonywali nagłych, nocnych rewizyj, czy nie czytają polskich książek, nie zbierają się „spiskować“.

2. PRZEPISY MINISTERJALNE DLA UCZNIÓW GIMNAZJUM O ZACHOWANIU SIĘ POZA SZKOŁĄ

JAK ówczesne władze szkolne Gimnazjum Lubelskiego ogarniały swoim śledczym dozorem całe życie swych uczniów, usuwając opiekę rodzicielską poza nawias normalnych stosunków, świadczyć mogą przepisy, które zawierała książeczka legitymacyjna każdego ucznia, a którą zachowałem sobie na pamiątkę owych ponurych czasów.

Książeczka moja, jako ucznia 7-ej klasy, podpisana przez dyrektora Siengulewicza i inspektora Spieszkowa, z datą 28 listopada 1883 r. — ma wlepione owe przepisy p. t.: *„Prawila otnositielno sobliudanja porjadka i priliczja uczenikam Warszawskowo Uczebnowo Okruga wnie stien uczebnowo zawiedienja i wnie doma, izwleczennyja iz obszczich prawil dla uczenikow, utwierdziennych Gospodinom Ministrom Narodnowo Proswieszczenja, 4 Maja 1874, s niekotorymi k nim dopolnienjami i razjasnienjami — dla uczenikow Lublinskoj mužskoj gimnazji“*, (przepisy dotyczące zachowania porządku i przyzwoitości przez uczniów Warszawskiego Okręgu Naukowego poza murami zakładu szkolnego i poza domem, wyciągnięte z ogólnych przepisów dla uczniów, zatwierdzonych przez pana Ministra Oświaty Narodowej 4 maja 1874, z niektórymi uzupełnieniami i wyjaśnieniami — dla uczniów Lubelskiego Gimnazjum Męskiego).

Zawarte tu przepisy obejmują i głoszą, usurpując dla władzy szkolnej, cały szereg wskazań, które należą właściwie do wychowania rodzicielskiego, a zarazem obejmują szereg pouczeń raczej o charakterze koszarowym — wojskowym, ograniczając każdy krok chłopca do zgóry określonych i jedynie dozwolonych poruszeń. Sądze, że warto je poznać dosłownie, tak są dla ówczesnego rosyjskiego wychowania państwowego w Polsce charakterystyczne:

§ 1. Uczniowie powinni być odziani przyzwoicie, ochędoźnie (*opriatno*) i według ustanowionej formy (*po ustanowliennoj formie*); w półmundurze (*połkaftanie*), zapiętym na wszystkie guziki, albo w bluzce letniej lub zimowej z czarnym, rzemiennym paskiem. Czapka powinna być też według ustanowionej formy i z twardymi, stojącymi bokami, bez rzemyków, z ustanowionym znakiem z literami L. G. Pozostała wierzchnia odzież winna być według ustanowionego kroju (*formiennawo pokroja*) i koloru, nosić ją na ramionach surowo zakazuje się (*nosit jejo u nakidku strogo wospreszczajetsia*). Uwaga: Letni kostjum dozwala się nosić od 1 Maja do 1 Września, przyczem nie wolno mieszać obu kostjumów razem, nie wolno nosić np. przy zimowym kostjumie letniej czapki.

§ 2. Idąc do szkoły dla zajęć szkolnych, a również wracając z tejże, uczniowie obowiązani są nosić na plecach tornistry (*objazany niesti na spinie rancy*).

§ 3. Wychodząc z gimnazjum uczniowie nie powinni tłoczyć się (*tołpitsia*) na ulicy, ale udawać się do domu, idąc trotuarem nie więcej jak po 2-ch razem. Wogóle na ulicy i we wszystkich publicznych miejscach uczniowie obowiązani są trzymać się skromnie (*dierżat siebie skromno*), zachowując po-

rządek, przyzwoitość (*blagopriliczje*) i grzeczność, nie sprawiając nikomu niepokoju; zatrzymywać się w publicznych ogrodach, na placach i na ulicach, dla robienia wyścigów i gier (*dla bieganja w zapuski i igr*) surowo zabrania się.

§ 4. Przy spotkaniu Jego Cesarskiej Mości i Członków Rodziny Cesarskiej uczniowie obowiązani są stawać i zdejmować czapki, a przy spotkaniu pana Ministra Oświaty Narodowej, Jego pomocnika, Kuratora Okręgu Naukowego, Jego pomocnika, a także Generał-Gubernatora, Gubernatora i Archierejów uczniowie obowiązani są zdejmować czapki, oddawać należny im hołd (*dotżnoje pocztienje*), również jak i naczelnikom Zakładu Szkolnego, nauczycielom, wychowawcom i pomocnikom gospodarzy klasy (*pomoszcznikom kłassnych nastawnikow*).

§ 5. Uczniom najsurowiej wzbronione (*strożajsze wospreszczeno*) odwiedzać maskarady, cukiernie, sale bilardowe, t. zw. bawarje i inne podobne zakłady. W mleczarniach i restauracjach bywać można, ale tylko w towarzystwie rodziców, przyczem w restauracjach za każdy raz z wiedzą i za pozwoleniem władzy szkolnej. Jako miejsce spaceru dla uczniów Gimnazjum Lubelskiego wyznacza się, w czasie wolnym od zajęć, Ogród Saski, w którym wolno im przebywać do zmierzchu. Sławinek, Bronowice i dalej położone miejscowości za miastem mogą odwiedzać uczniowie tylko wraz z rodzicami lub starszymi krewnymi — również tylko do zmierzchu. Odwiedzanie Tivoli (ogród) i Dworca kolei żelaznej zupełnie jest wzbronione (odsiedziałem kiedyś długi karcer, gdy z matką znalazłem się na dworcu dla spotkania krewnych, zauważony tam przez któregoś z wychowawców).

§ 6. Bytność (*posieszczenie*) w teatrze, na koncertach, w cyrku, w salach sądowych, na odczytach publicznych w czasie szkolnym (*w uczebnoje wremja*), najsurowiej jest zakazana (*strożajsze wospreszczajetsa*). Tylko w czasie zimowych lub letnich wakacyj pozwala się uczniom bywać w powyżej wskazanych miejscach (*w ukazannyh publicznyh miestach*), ale nie inaczej, jak na podstawie osobnego pozwolenia, Dyrektora lub Inspektora, wydanego przez osobną legitymację (*po osobomu biletu*), wydawaną przez Władzę Szkolną. Uczniom najsurowiej wzbronione jest jakiegokolwiek okazywanie sympatii lub antypatii dla gry wykonawców (*wsiakija izjawljanja soczustwia ili niesoczustwia igrze ispotnitielej*).

§ 7. Palenie tytoniu, używanie mocnych trunków, noszenie długich włosów, wąsów i brody, również zbytecznych ozdób (*izlisznych ukraszenij*), jak pierścionków, sygnetów, *pince-nez*, a także prętów, szpicrut, lasek uczniom najsurowiej jest wzbronione.

§ 8. Każdy uczeń obowiązany jest mieć przy sobie stale bilet wyjścia (*wychodnyj bilet*) i okazywać go bezzwłocznie na żądanie osób, służących we władzach szkolnych (*służaszczych po uczebno-mu wiadomstwu*), zarówno jak i osób, mających prawo nadzoru nad ogólnym porządkiem (*za obszczestwiennym błagocziniem i poriadkom*).

§ 9. Za naruszenie wyżej podanych przepisów uczeń zostaje poddany według rozporządzenia Rady pedagogicznej, surowej karze (*podwiergajetsa strogomu wzyskanju*) i nawet bezzwłocznemu wydaleniu z zakładu szkolnego (*niemiedlennomu uwolnieniu*). Lublin 15 października 1883 r.

Te przepisy dają pewne wyobrażenie o wchodzeniu w najdrobniejsze szczegóły życia uczniowskiego, usuwając w znacznej części władzę rodzi-

cielską poza szkołą, że skrępowani takimi i podobnemi przepisami i tym ciągłym terrorem, uczniowie tracili wszelką radość życia, naturalną w tym wieku wesołość i powoli, choć ze wstrętem, przyzwyczajali się do nałożonego na nich jarzma, mającego z nich zrobić potulnych, pokornych, dobrze myślących poddanych państwa rosyjskiego, gotowych na każde skinienie władzy spełnić wszelkie, najprzykrzejsze polecenia, aby mieć tylko spokój.

Oczywiście te przepisy nie wyczerpywały całego systemu „wychowania państwowego“, gdyż dołączało się do tych formalnych, codziennych nakazów, zakazów, złączonych z całym szeregiem najróżnorodniejszego stopnia kar szkolnych, — także bardzo silne oddziaływanie na moralną i umysłową stronę dusz uczniowskich, ażeby je utrzymać w poszanowaniu i uległości dla władzy, wszczepiając odpowiednie zasady niewolniczego, wschodniego światopoglądu, z wykluczeniem wszelkiego swobodniejszego polotu myśli i wszelkich „buntowniczych“, t. zw. liberalnych tendencji, które nosiły w języku urzędowym miano *uzkawo liberalizma* (ciasnego liberalizmu).

3. TRESURA MORALNA I UMYSŁOWA UCZNIÓW PRZEZ TEN SYSTEM PRZEPROWADZANA

PAMIĘTAM, gdy w 6-ej klasie dano nam temat zadania rosyjskiego pod tytułem „nadzieja“ (*na-pieżda*). Mieliśmy to pojęcie wyjaśnić. Napisałem wówczas, wyliczając różne rodzaje nadziei, także o nadziei politycznej, która ożyiała w starożytności, w średniowieczu, a także i w nowych czasach różne narody podbite, o ich życiu, gdy nie traciły nadziei na uwolnienie się z jarzma obcego: przytoczyłem tu przykłady z historii Greków, Żydów, Szwajcarów i t. d., nawet nie dotykając przykładów z czasów nowych. Zwrócił mi to wypracowanie ówczesny nasz nauczyciel języka rosyjskiego, Speranskij, przekreślając to, co pisałem o nadziei politycznej i pisząc przytem adnotację: *dieszewyj liberalizm* (tani liberalizm). Zdawało się, że nie mogłoby wywoływać zastrzeżenia inne zadanie o „faryzeuszach“, a jednak i tu inny profesor, Iwanickij opatrzył skromne moje zdanie, że należy z wielką ostrożnością i podejrzliwością traktować wynurzenia niby szczere ludzi fałszywych, operujących ogólnemi frazesami o służbie dla kraju i państwa, również epitetem: „*dieszewyj liberalizm*“. To też ostrożniejsi uczniowie unikali wejścia na zdradliwy, śliski grunt podobnych niewinnych rozumowań, tworząc zupełnie bezbarwne, drewniane powtarzanie oklepanych określeń, dotyczących posza-

nowania władzy i istniejących stosunków, bez żadnego naturalnego polotu i wdzięku.

Siengalewicz puszczał się czasem na swoiste historjozoficzne porównania i analogje np. w rodzaju takich: zapytał się kiedyś na lekcji historii rzymskiej, do czego można porównać obecnie ówczesną godność i stanowisko *tribunus plebis*. Głowiły się biedne uczniaków głowy, coby tu wymyśleć, ażeby mu dogodzić, ale nie nie mogły wynaleźć, więc z niecierpliwością zawołał: ach wy, osły — przecież *komissar po krestjanskim diełam* (komisarz do spraw włościańskich) — to terażniejszy dawny *tribunus plebis*, i któż bowiem lepiej broni biedny lud włościański od samowoli panów, jak nie ten komisarz?.. Oczywiście, ci uczniowie, których rodzice posiadali majątki, znali, niestety, dosyć dobrze ową błogosławioną działalność ówczesnych tych pp. komisarzy, którzy byli głównymi, urzędowymi, płatnymi siewcami wszelkich sporów między dworem i wsiami, ale ci miejscy chłopcy wierzyli, że ta analogja jest prawdziwa.

Szkoła rosyjska lubelska była specjalnie złą dla duszy naszej nie tylko dlatego, że była przede wszystkim nastawiona na mechaniczną rusyfikację uczących się tam dzieci, bo były nią prześląknięte wszystkie szkoły rosyjskie, zwłaszcza w Królestwie, w których uczyć się musiały, bo polskich nie miały, dzieci polskie, nie tylko była złą i szkodliwą, że uczono nas tam przeważnie nieudolnie, bez żadnej właściwej metody dydaktycznej, (o której ci domorośli nauczyciele, naślani Bóg wie skąd, pojęcia nie mieli), a raczej metodę paznogciową (*od siuda do siuda* — nauczyć się na pamięć), nie tylko złą dlatego, że usiłowano dzieciom polskim wtłoczyć obce im „ideały“ narodu zwycięskiego, upojonego brutalnem

pojęciem wielkości własnej wobec pokonanego narodu i zaszczepiać pojęcia o jakiejś wznosłości i wielkości swoich, jakoby wielkich, historycznych ludzi, którzy dla Rosji nie byli w istocie niczem innym, jak amoralnymi jej gwałcicielami dla podniesienia tylko swojej osobistej wielkości.—Szkoła rosyjska, stosująca w Lublinie te zasady swego „państwowego“ wychowania, była też złą, szkodliwą i niszczycielką przez swoją zaciekłość w niszczeniu odruchów wszelkiej swobodniejszej myśli ludzkiej, którą to zaciekłość do dzisiaj pamiętamy wszyscy, którzy musieliśmy to „wychowanie państwowe“ przecierpieć w tych najpiękniejszych zwykle gdzieindziej chwilach młodości.

To odczucie odrazy i nienawiści do tych metod wychowawczych, najbardziej wyraziście zaznaczanych przez ów system, a odczuwanych do późnych lat przez wychowañców tych szkół, wszędzie spotkać można, gdy tylko tej sprawy dotyka się z tej strony. Rusyfikację strząsał szybko z umysłów dzieci swoich każdy dom polski; to był zewnętrzny najczęściej pokost, jakkolwiek dotykał on też, przy braku oddziaływania domowego, i wnętrza umysłu i duszy polskiej, bo już myśleliśmy często gotowemi zdaniami rosyjskimi, tłumacząc je, już po kilku latach pobytu w szkole, na polskie; oczywiście przemęczaliśmy się przy tem niezmiernie, opóźniwszy swój rozwój umysłowy, zahamowany tą pracą niewdzięczną, nie twórczą, mechaniczną przyswajania sobie obcych terminów, obcej składni, obcych zwrotów. To było przykre i wstrętne zajęcie. Ale bardziej jeszcze nienawistnem było uczucie tego skrępowania myśli ludzkiej, uczucie poniżania, nędznego strachu i lęku przed siłą fizyczną, mocą materialną, jakie ten system wychowania pań-

stwowego rosyjskiego niósł z sobą u nas w szko-
łach rosyjskich w Królestwie. Podobno poza gra-
nicami Królestwa ta szkoła rosyjska nie była tak
okrutną, choć usiłowała i tam nią być, ale dla
duszy wschodniej, niewolniczej rosyjskich dzieci
była przystępniejszą, ich właściwościom duchowym
bliższą.

4. WSPOMNIENIA SZKOLNE FELIKSA BRODOWSKIEGO O 2 TYPACH SZKÓŁ ROSYJSKICH

CIEKAWIE porównanie tych typów szkół rosyjskich przed Bugiem i za Bugiem znajdujemy we „Wspomnieniach” Feliksa Brodowskiego (wydanie 1929 r.), ucznia Gimnazjum Lubelskiego, mojego kolegi z niższych dwóch klas, a później Szkoły Realnej w Równem, też rosyjskiej i przez to rusyfikacyjnej, ale nie gwałcącej tak bezlitośnie uczuć i godności ludzkiej, jak w Lublinie.

Cytuję dosłownie urywek ze „Wspomnień” Brodowskiego, bo one bezpośrednio oddają najlepiej to uczucie wstrętu i nienawiści, które ten system wychowawczy budził i jeszcze po 50 latach budzi:

„Czem było gimnazjum lubelskie w owe czasy (wstąpiłem tam do drugiej klasy w dwunastym roku życia, a 1875) — pamięta zapewne wielu. W obrzydliwym tem wspomnieniu pewne momenty nie wydają mi się dość jasnymi i bezwątpienia ludzie, którzy gimnazjum to ukończyli, lub dłużej odemnie (byłem tam przed wstąpieniem do Szkoły Realnej w Równem dwa lata), w niem przebyli i większą z ciałem nauczycielskiem mieli styczność, dużo więcej odemnie powiedzieć i obraz cały pogłębić i plastyczniej wystawićby mogli. O plastykę zewnętrzną nie idzie mi, idzie mi tylko o obraz zniszczenia, jaki dokonywa się w duszy dziecka, gdy myśl jego zetknie się z domem szkolnym, zamienionym na dom

nierządu myśli — władzą „chamstwa“. W zewnętrznym jednak tego domu obrazie, powiadam, widzę w swoim wspomnieniu punkty niejasne. Rozumiem w zupełności istnienie systemu ciemnienia szkolnego — pierwiastków narodowych i wszelkiego samodzielnego prężenia myśli nawet po drogach, nie objętych bezwzględny zakazem, systemu, świadomie skierowanego ku usunięciu wszystkiego co żywe z nauki. System taki bynajmniej nie jest warunkowany programem tym czy innym, realnym, czy filologicznym... Gdy z przeniesieniem się do Równego stoczyły się ze mnie głązy, to nie dlatego, że greckiego i łaciny mi ujęto, lecz że, z domu przedpogrzebowego poszedłem do szkoły, skromnej, wiele jeszcze braków mającej, ale szkoły. I oto, czego nie rozumiem: zamknąć naukę szkolną w budynku, gdzie przystoi leżeć nieboszczykom przed oddaniem ich ziemi, nie jest łatwo; niedość nakazu, potrzeba do tego spółudziału mnóstwa rąk, mózgów, czynnego, pozatem nawet — udziału tych wszystkich, którzy się tam zamknąć dadzą i wmówić w siebie, że to jest szkoła... Z takiej szkoły może wyjść albo człowiek okrojony w kostkę, albo jakiś krańcowy anarchista, jakiś niszczyciel bezwzględny dla rozkoszy niszczenia, w kim długa rozpacz i nękanie spruły wszystkie szwy więzi moralnej. O takich nie słyszałem¹⁾, natomiast słyszy się i widzi ot — lekarzy, adwokatów, przeciętnie bardzo porządných ludzi... W czymże wyraził się protest mój — dziećka o bardzo słabo zarysowanych pierwiastkach czynnych,

¹⁾ Przeciwnie, ze szkoły lubelskiej wyszli rosyjscy wychowañcy — najzacieklejsi bolszewicy, jak Krylenko „głównowierch“ armji sowieckiej, późniejszy najokrutniejszy prokurator wojenny, i inni.

niezdołnego do oporu gwałtownego, do śmiałego buntu i urzeczywistnienia tego, co tylko w marzeniu przejawiało: by uciec do Sydora (mularza) i z jego chłopakami nosić cegłę i szafliki z wapnem, — co w istocie dla zdrowia duszy i ciała byłoby stokroć pożyteczniejsze?... Moja nienawiść, może ze strachem, z niemocy czynu płynącym pomieszana, zatykała wszystkie pory duszy i walka z jadem musiała mieć przebieg tylko wewnętrzny. Poczęło się zatem niszczenie wnętrza, komórek duszy. Coś przesłaniało mi widzenie... Nie widziałem matki. Gdy mówiłem jej o swym bólu, ona mi mówiła o zasadach, obowiązku, ofierze. Znienawidziłem te słowa. Niechby ciało w jakiej ofierze niszczyć, ale myśli nie wolno, ona powszechna i boska. Przestałem czytać... Stępiełem... Wtedy rozpoczął się proces znieprawienia moralnego. Z ponurych zakamarków, które są w duszy każdego człowieka, choć światełko dobra je przesłania lub zgola mrok z nich wypłaszać może — wypęłzył gad kłamstwa. By nie pójść do szkoły, udawałem chorobę, potem udawałem, że idę do klas i chyłkiem, tylną furtką lub przez parkan wkradałem się z powrotem i kryłem się w drwalni lub na stryszku z sianem... Do matki zaczęły dochodzić wieści. Pewnego razu przywołała mnie bardzo wzruszona, z pełnemi łez oczyma. „Ty kłamiesz?“ zapytała. „Tak“. „Nie chodzisz do szkoły?“. „Nie mogę“. „Marzłeś na strychu?“. „Nie, tam cieplej, niż w klasie — i mam pajaka“, mówiłem, jak przez szczyty obłędu. Otworzyła mi ręce i płacząc oboje wtuliliśmy się w siebie, jak to kiedyś dawniej. Znów byliśmy jedno. Odzyskałem matkę. Powiedziała: „Nie pójdziesz tam więcej. Niech będzie przeklęta szkoła, która nauczyła cię kłamać“. Jakże czczę Jej cień,

jak dziś całuję Jej ręce za te słowa... Ale to było po dwu latach. Dwa lata, drodzy moi, w życiu dziecka... Odzyskałem matkę. Równe już w roku następnym sprawiać zaczęło, że potrochu, potrochu zacząłem odzyskiwać siebie. Ale czy zniszczone tkanki duszy mogą jeszcze narosnąć? Nie wiem. Myślę, że po ranach duszy zostają też zawsze blizny, guzy, stwardnienia, których mogłoby nie być... Wy, co chowacie dzieci, pomyślcie nad tem... Dlaczego równieńską Szkołę Realną, zestawiając ją z gimnazjum lubelskim, nazywam w istocie Szkołą? Bo nie ciemnęła. Były braki w podaniu poznania, nie było ciemństwa: przypominam sobie tego starego dyrektora, olbrzyma, owiniętego w zrudziały płaszcz, jak nocami krąży po mieście, zaglądając do stancyj uczniowskich. Czy szpiegował nasze myśli? Nie, — patrzył, czy te dzieci duże, czy małe, nie robią sobie czego złego. Czy ich kto nie wciąga w złe miejsca, czy nie wpadły w szkodliwe nałogi, czy mają dosyć snu, czy im na stancji dają zdrową strawę. Był ich stróżem dobrym. Wyrzucono starego i przysłano młodszego dla wykorzenienia prądów wolnościowych. Lecz napotkał opór. Nauczyciele, jak jeden powiedział: „Ciemnić nie będziemy“. Byli to ludzie zwyczajni, nie orły, choć parę umysłów bardzo jasnych, pięknych, zajmujących. Przedewszystkiem byli żywi. Sami coś czuli i myśleli, więc rozumieli dziecko i młodzież. Nie frasowali się, iż do młodych umysłów napływają najrozmaitsze kierunki i programy. Czego tam nie było: nihilizm, radykalizm, pozytywizm, ateizm, „narodnaja wola“, socjalizm, komunizm, anarchizm i kierunek bez nazwy, który na tem polegał, by uczyć się z zapałem, skoro los zdarzył doskonałych przewodników, jak

w historii naturalnej, matematyce, historii, literaturze. Pamiętam wykłady świetne, gdzie tryskało życie, zapach, dowcip, satyra. A te różne kierunki... Wiele z nich nie mogło przystać do dziecka polskiego, spotkawszy się o próg duszy narodowej: żaden nie był prawdą, lecz wszystkie dążeniem do niej“...¹⁾).

¹⁾ Feliks Brodowski: „Wspomnienia”—1929. Warszawa
Biblioteka Domu Polskiego. Str. 55, 56, 57, 58, 59, 62 i 63.

5. METODA LIBERALNEGO WYCHOWANIA ROSYJSKIEGO W SZKOŁACH KRESOWYCH

PRZYTOCZYŁEM te dłuższe ustępy ze „Wspomnień“ kolegi Brodowskiego, bo one dobrze charakteryzują owe metody wychowania państwowego rosyjskiego, stosowane w lubelskiem gimnazjum, jak również metody wychowania liberalnego, społecznego, także rosyjskiego, stosowane w szkole realnej rówieńskiej. I jedne i drugie były dla duszy polskiej szkodliwe, choć autor przypuszcza, że te rówieńskie nie mogły przystać do dziecka polskiego, spotkawszy się o próg duszy narodowej. Niestety, tak nie było. Przystały wiele razy i, niestety, one to znieprawiały, wprowadzając w inny sposób, dusze polskich dzieci, wciągając je w obcy nam kulturalny, radykalny ruch rosyjski, również nam wrogi, bo wrogi naszej kulturze, choć z innej strony, — przez swoją „pryncypjalność“, swoistego rodzaju doktryneryzm, który odwodził nasze dzieci od służby swojej kulturze, a wiódł do kultury uniwersalnej z pozoru, a faktycznie również do kultury wschodniej, anarchicznej, a zarazem niewolniczej. Znałem wychowanków tej szkoły rówieńskiej w późniejszych latach gimnazjalnych (1882—84), bo, gdy rozbito ich kółko, przenieśli czasowo swoją biblioteczkę uczniowską kółkową do nas do Lublina; tam po raz pierwszy zapoznaliśmy się z całą literaturą nielegalną rosyjską, oczywiście radykalną, socjalistyczną i ludową („narodno-wolców“), z litera-

turą t. zw. „abliczytelną“, t. zn. krytykującą wszystko i wszystkich pod hasłem: „*Boga niet, dusza kletoczka, otca po zębam można*“ (Boga niema, dusza — komórka, ojca w zęby można), zawartą w pismach Pisarewa, Ławrowa, Krapotkina, Herce-
 na, Omulewskiego i t. d. Na nas w Lublinie ta literatura nie wywarła głębszego wpływu, bośmy
 byli przez ucisk dotychczasowy nastawieni wrogo na wszystko, co było rosyjskie, ale na tych, co
 pochodzili z kresów i w tamtejszych rosyjskich szkołach wychowywali się, wpływ ten radykalnych rosyjskich idei był znaczny. Tem można sobie
 tłumaczyć znaczny udział młodzieży polskiej, z kresów pochodzącej, w ruchu rewolucyjnym rosyjskim: różnice narodowe, nie zaostrzane tam codziennem
 uciemiężaniem, łagodniały lub znikwały zupełnie, łącząc wszystkich, Polaków i Rosjan we wspólnej nienawiści do systemu rządowego samodzierżawia,
 a przez to i wciągając do ruchu rewolucyjnego. Stąd pochodziło powolne rusyfikowanie się kulturalne naszych dzieci, przechodzące następnie i w polityczną rusyfikację, gdy z biegiem czasu momenty
 radykalnej natury w duszy tych chłopców naszych pod naciskiem życia stępione zostały — i z dawnego, radykalnego rosyjskiego rewolucjonisty pochodzenia polskiego wykluwał się powoli oportunistą lojalny, pogodzony z istniejącym porządkiem
 rzeczy, w sprawach społecznych, a w narodowych za to usposobiony ugodowo wobec państwa rosyjskiego, najwyżej lekko krytycznie nastawiony w typie liberalno-kadeckim. Ten drugi typ szkół rosyjskich, w Kongresówce nieznany, a na kresach i w głębi Rosji częściej spotykany, był dla duszy polskiej naszej młodzieży, a stąd i dla kultury naszej, nawet niebezpieczniejszy, gdyż mocniej często łączył naszą młodzież z kulturą rosyjską,

aniżeli ów pierwszy, typu lubelskiego, który swoim bezmeślnym barbarzyństwem mógł tylko odstręczać, a jedynie podlejsze, słabsze natury łamał i na modłę lojalną, ugodową przerabiał. To też w starszem pokoleniu naszych kresowców, wychowanych w takich szkołach, można dotychczas często odnaleźć wiele tej „pryncypjalności“ ogólnorosyjskiej, zupełnie obcej naszej kulturze i rasie; uwolnić się od niej, niestety, nie mogą, bo tak się od dzieciństwa z nią silnie zrośli i w niej wychowali. Ta „pryncypjalność“ rosyjskiego pochodzenia, jako sposób myślenia i osądzania wszelkich spraw narodowych i społecznych, dotychczas często nie pozwala, niestety, Polakom, pochodzącym z tych szkół, patrzeć całkiem realnie na nasze stosunki, ze stanowiska polskiego, narodowego. Kryterjum „pryncypjalne“, którem dotąd ich myślenie działa, ściga ich wszędzie w ich pojęciach i czynach. Są to często kalekie psychicznie organizacje, niezdolne myśleć kategorjami narodowymi, choć formalnie i we własnem pojęciu są polskie, ale wynaturzone już w zaraniu swego dzieciństwa przez wpływ obcej, wschodniej kultury, od której uwolnić się przeważnie nie są w stanie. Przyłgnęli bowiem do niej oddawna, od młodych lat, które najsilniejszymi więzami wspólnych cierpień i walk przeciw znienawidzonemu systemowi łączą zwykłe ludzi. Zdaje mi się, że u nas niedostatecznie docenia się tę stronę wpływu zgubnego szkół rosyjskich na dawne pokolenie, teraz działające w Polsce. Młodsze pokolenia wyrosły już w innej szkole, tą „pryncypjalnością“ nie są tak zarażone, tu chyba już tylko wpływ starszego pokolenia na nie oddziaływać może i oddziaływa. Powoli i ten wpływ, obcy polskiej kulturze, zniknąć musi, bo nurt narodowego życia musi go porwać z sobą, ale jeszcze zapewne dość

długo trzeba będzie odczuwać te rozdźwięki w duszy polskiej, wynikłe, niestety, nie z naszej winy, lecz z wpływów obcych, którym dom polski nie zdołał się w swoim czasie dostatecznie oprzeć, a które jeszcze, choć w spóźnionym refleksie, zaznaczać się dają teraz.

6. REAKCJA U SAMEJ MŁODZIEŻY POLSKIEJ NA TE METODY

TYP rosyjskiego „wychowania państwowego“, uosobiony w barbarzyńskiej formie i metodzie w szkole lubelskiej, także państwowo rusyfikacyjny, chociaż łamał psychicznie słabsze dusze dzieciinne, chociaż robił z nich często zwyczajne, marne kreatury życiowe, gotowe do wszelkich poniżeń, ażeby tylko spokój sobie i używanie świata zapewnić, działał wszakże na lepsze natury, odporniejsze lub przez wpływ domu polskiego lepiej uodpornione,—w inny sposób,—pobudzał je do odporu, czy to otwartego, co się kończyło zwykłym wyrzuceniem ze szkoły, czy też skrytego, prowadzącego nieuniknienie do konspiracji, — w tajnem przeciwdziałaniu narzuconej presji.

Oczywiście nie było to objawem zdrowego, normalnego rozwoju duszy chłopca, jaki miała i ma młodzież szkolna na Zachodzie, gdzie wszystko w szkole odbywało i odbywa się otwarcie, szczerze, bez żadnego nacisku i przymusu. W takiej wolnej, swobodnej atmosferze mogą tylko powstawać i rozwijać się dusze obywateli francuskich, angielskich, szwajcarskich i innych krajów na Zachodzie, które też potem nie znają, co to znaczy przymus przekonań, jakiś nakaz idej zgóry narzuconych. Nawet we Francji, w walce o laicyzm szkoły publicznej, narzuconej przez zaciekle wpływy masońskie, nie odważono się na takie eksperymenty, i szkoły pry-

watne katolickie, o kierunku katolickiej myśli wychowawczej, mogły istnieć i prowadzić, pomimo pewnych trudności, swoją działalność, a teraz, po wojnie, ta działalność jest jeszcze szerszą i głębszą.

U nas w Polsce, musiała być odpowiedź na ten przymus i nacisk zgóry: odpowiedzią była konspiracja swoista, swoisty spisek. Tu uciekały zgnębione i często znieważane w istocie narodowej i ludzkiej — dusze młodzieży szkolnej, szukając w niej odpoczynku, jak w rajskiej krainie ułudy.

Konspiracja dawała choć na chwilę wrażenie pewnej swobody myślenia, tak uciemzonego i skrzepowanego. Choć sama przez się niezdrowa, jako objaw nienaturalny dla młodego wieku, który powinien żyć w słońcu, była w tych warunkach jednak zdrowszym objawem życia, bo chroniła to życie od upadku i upodlenia moralnego. I trzeba się z tem pogodzić, że zawsze tak będzie, gdy życie w szkole odbywać się będzie pod jakimś przymusem, niezgodnym ze zdrowym, normalnym rozwojem narodowego życia. To też w szkole lubelskiej prędko nauczyliśmy się spiskować, przynajmniej ta młodzież odporniejsza, psychicznie zdrowsza, nie przeczulona, a która i w domu miała zdrową moralnie, narodową atmosferę.

Oczywiście, objawy i formy tego spiskowania musiały być dziecinnie często śmieszne, ale one to chroniły nas od deprawacji i moralnej i narodowej, bo stawiały przed oczy jakiś wyższy, niecodzienny cel, jakiś górny ideał, choć dziecinnie ujęty.

Dziś jeszcze pamiętam ten pierwszy mój dziecinny, narodowy spisek we trzech w III klasie. — Było to zdaje się w 1878 r., po wojnie rosyjsko-tureckiej: zawiązaliśmy tajne sprzysiężenie, mające na celu bezwzględną walkę z Rosją, a to przez balony powietrzne. Staś Doborzyński (dziś nie żyją-

cy), syn profesora matematyki w naszym gimnazjum, późniejszy profesor w politechnice w Tomsku na Syberji, Staś Janiszewski, syn lekarza, późniejszy nauczyciel szkół polskich prywatnych i ja przysięgliśmy sobie, że jak tylko będziemy mogli, po skończeniu szkół, zabierzemy się do budowy takiego balonu (o aeroplanach wówczas jeszcze mowy nie było) na jakiejś wyspie, opatrzymy go w bomby i inne środki wybuchowe i będziemy niemi prażyć wojska rosyjskie, zaczynając, jak pamiętam, od Afganistanu, do którego posiadania Rosja wówczas pewne pretensje miała. Sądziliśmy, że szkodząc tak potędze rosyjskiej, przyczynimy się do ustąpienia Moskali z Polski. Traktowaliśmy to zupełnie serjo: Staś Doborzyński pracował wciąż nad konstrukcją takiego balonu, był zapalonym fizykiem i chętnie się spekulacji myślowej w tym kierunku oddawał, wciąż nas zaznajamiał z postępami podobnych konstrukcyj w świecie. Niestety, ustały te najmielsze posiedzenia naszej trójki, na których istotnie wzlatywaliśmy w rajską krainę ułudy, gdy Staś po 4-ej klasie przeniósł się do szkoły realnej w Warszawie; nie było już jego, jako głównej sprężyny w tem przedsięwzięciu. Zbieraliśmy się na narady-rozmowy w umówionych miejscach Ogrodu Saskiego, gdzie wkrótce jeden z kolegów Rosjan te nasze schadzki zauważył i ostrzegał, że doniesie, choć celu ich nie wiedział. Zmuszało nas to do ostrożności, ale nie odstręczyło od spiskowania. Założyliśmy wtedy, żeby obudzić ducha odporniejszego wśród kolegów, pismo koleżeńskie szkolne z 3-ej klasy, którego kilka numerów szczęśliwie zachowałem. Numer pierwszy wyszedł 24 maja 1878 r. pod tytułem „Concordia”. Mizerne to i niezdarne było poczynanie, niezbyt nawet dowcipne, choć się na dowcip siliło, ale

zawsze skupiało kilkunastu chłopców dla myśli ogólnej, dla jakiegoś ogólnego pożytku — przynajmniej zmuszało nas do pisanja po polsku i do osądzania spraw szkolnych. Nie pamiętam już jego losów, zdaje się, że wciąż szpiegowani, musieliśmy je zawiesić po jakimś czasie.

7. KÓŁKA KONSPIRACYJNE SZKOLNE

PO TYCH pierwszych usiłowaniach spiskowych, nastąpiły już w 5-ej klasie, gdy uciemnienie nas w szkole nie ustawało, organizacyjne pomysły tworzenia tajnych kółek, żeby wzmocnić samowiedzę naszą polską i wobec wykluczenia zupełnego nauki polskiego i historii polskiej, uzupełnić nasze bardzo marne wiadomości z polskiego życia dawnego i obecnego. Tematy naszych odczytów, rozpraw i dyskusyj były bardzo rozmaite. Pamiętam, że mówiłem raz o Statucie Wiślickim, potem znów o Komisji Edukacyjnej, a równocześnie prawie o Wolnomularstwie, które nas zaciekawiało, jako tajny związek, a mniej jego cele. Każdy członek kółka musiał mieć swój odczyt, swoje opracowanie; to zmuszało do szukania źródeł, a więc książek polskich, których w bibliotece szkolnej nie było. Trzeba było ich szukać u rodziców, krewnych, znajomych, przy czem zaznajamialiśmy się przygodnie z innemi książkami, co znów pobudzało do nowych rozprawek. Zapał był duży, polszczyzna kiepska, przetykana rusycyzmami, bo inną być nie mogła, ale uczyliśmy się praktycznie pisać po polsku, bo w szkole nieobowiązkowa nauka polskiego języka polegała tylko na tłumaczeniu w klasie z rosyjskiego na polski i odwrotnie — gramatyki nas nie uczono, nie była w programie. Uczyli u nas polskiego nauczyciele już wyranżerowani i zdeklasowani wogóle z grona nauczycielskiego, którzy dożywali swoich

ostatnich lat przed emeryturą na tem zajęciu, uważanem w hierarchji szkolnej za najniższe, bo nie mające żadnego wpływu na stopień, na promocje i dla uczniów nieobowiązkowe. Czasem wykładali nawet ludzie, dawniej w hierarchji nauczycielskiej wysoko stojący, ale którym, jako Polakom, dożywającym swoich lat nauczycielskich, tylko tę naukę nieobowiązkową powierzano, oczywiście pod grozą, że jeżeli będą starali się robić coś konkretnego dla uczniów z tej nauki, to ich z miejsca „wyśleją”. Pamiętam zacnego prof. Koszkę, dawniej gdzieś dyrektora gimnazjum, którego do Lublina dla tej funkcji nauczania polskiego przenieśli: człowiek bardzo wykształcony, dusił się w tem niewdzięcznem zajęciu, próbował z niego wyjść, ale Siengalewicz, który lubił częstą kontrolę tych lekcyj, z miejsca go osadzał. Człowiek stary, zgnębiony i sterany życiem, dożywający swoich dni, nie mógł takiej walce o właściwe prowadzenie nauki języka polskiego podołać, dał więc pokój wszelkim próbom. To też lekcje upływały niesłychanie nudnie na tych tłumaczeniach, okraszone czasem jakimś historycznem wspomnieniem, ale niezmiernie ostrożnem, bo mógł wśród uczniów znaleźć się jakiś szpieg i donieść dyrektorowi. Jednakże, pomimo tak niskiego stanu nauczania języka polskiego, uważaliśmy sam fakt istnienia w programie szkolnym tego przedmiotu za tak ważny i cenny, że bojąc się, iż, w razie braku chętnych, (przedmiot był nieobowiązkowy) może być język polski z programu usunięty, staraliśmy się chodzić pilnie na te nudne godziny. Nawet w 6-ej i 7-ej klasie wybraliśmy specjalną komisję do spraw języka polskiego, która miała czuwać nad regularnem uczęszczaniem na te lekcje wszystkich uczniów Polaków i karać ich cielesnie w razie nieuczęszczania, o czem nawet i poważniej i żartem mówiliśmy.

w pisemku naszym szkolnem „Ognisko Koleżeńskie“ (z 1884 r.).

Te kółka samokształceniowe, tylko w kierunku wyrobienia się w duchu narodowym, powstały w 1880 roku, gdy byłem już w 5-ej klasie. Parło nas do tego przekonanie, że nie umiemy po polsku, nie wiemy o sprawach narodowych, a stąd i wstyd, że się tak dzieje, a zarazem parła nas i niepohamowana ochota do przeciwstawienia się temu ciemieniu z góry idącemu — przez znalezienie się choć raz na tydzień w swobodniejszej atmosferze, w wolnej wymianie myśli, którą może dać — w tych warunkach — tylko konspiracja. Konspiracyjne te zebrania zapalały nas do kształcenia się i wyrobienia z siebie działaczy narodowych, wyrabiały w nas nawet coraz większą zaciętość.

Powiał inny duch: — zamiast dotychczasowego zgębienia i udręczenia zaczęto pogodniej patrzeć na świat, zaczęto patrzeć na tych naszych codziennych szkolnych ciemieńców coraz śmielej, odporniej; pojawiały się jakieś nieznane dotąd odruchy śmiałości, jeszcze bardzo rzadkie i nikłe, ale przedtem nigdy nie zaznaczane, jakieś próby solidarnych wystąpień, przedtem zupełnie niemożliwe, reagowania na codzienne, dotychczas milczeniem pomijane, ugodowe, lojalne uniżania się starszych osób. Pamiętam, jaki zapał i ogień wszystkich uczniów od niższych do wyższych klas ogarnął, gdy nowomianowany katechetą ks. Roman Swiżiński, wychowaniec Akademii katolickiej w Petersburgu, (który zapewne dzięki tym petersburskim wpływom Akademii to stanowisko otrzymał), zakazał nam na pierwszej lekcji, powołując się, że wykład religii miał się odbywać po polsku, odmawiać pacierz przed lekcjami i po lekcjach po rosyjsku i nakazał mówić go po polsku. Dawniej byłoby nie-

możliwe przeprowadzić tu jednolite stanowisko wśród uczniów: było dużo „strachajłów“, którzy, zwłaszcza pod wpływem bojaźni swoich domów, obawiali by się w czemśkolwiek takim uczestniczyć. Teraz wpływ członków kółka naszego był już tak silny i dobitny, że i oni nawet scichli i dali się pociągnąć biernie do wspólnego kroku. Wszędzie, we wszystkich klasach następnego dnia modlitwa poranna została odmówiona po polsku, ku osłupieniu nauczycieli Moskali, którzy nie mogli się połapać, co się stało, ale nawet nie wystąpili z zakazem, tak byli tą modlitwą polską, niesłyszana już od kilku lat, zaskoczeni. Po tej porannej lekcji — następna ekcja się nie odbyła, bo nauczyciele Rosjanie złożyli raport dyrektorowi, a ten zwołał Radę pedagogiczną, gdzie, jak słyszeliśmy, swoim zwyczajem napadł brutalnie na ks. Swidzińskiego, chcąc go, jak zwykle, sterroryzować. Ale ten spokojnie wysłuchał tej inwektywy i odparł, że jako kapłan katolicki musi tak, a nie inaczej postąpić, i musi bronić praw Kościoła katolickiego. I pierwszy raz dyrektor ustąpił, próbował tłumaczyć uczniom we wszystkich klasach, że nastąpiło tu jakieś nieporozumienie, że ks. Swidziński, nakazując nam modlitwę polską, myślał tylko o tem, gdy pierwsza godzina jest lekcją religji, że przecież nie mogą prawosławni i żydzi — uczniowie odmawiać modlitwy polskiej, ale myśmy i te małe uczniaki z niższych klas zgodnie odpowiadali, że mamy takie polecenie od ks. katechety i jako katolicy, w rzeczach religji mu posłuszni, musimy to zrobić. I tak też pozostało: mówiliśmy tę modlitwę po polsku, tylko nie zmuszaliśmy prawosławnych i żydów do jej odmawiania. To pierwsze zwycięstwo podniosło nas na duchu i wzbudziło wielką popularność ks. Swidzińskiego: czuliśmy, że mamy kogoś, kto tych skromnych praw

polskości choćby w religji, chce i umie bronić. I gdyby ks. Swidziński w tym charakterze obrońcy polskości w kościele i religji, która odtąd była także już wykładana po polsku, utrzymał się i potem, a nie wkroczył na pole dociekań, czy dostatecznie jesteśmy religijni (byliśmy wszyscy przeważnie religijni, choć z niejednakową siłą, a czasem, jak to bywa w tym wieku, sceptyczni), i łagodniej te sprawy wątpliwości religijnych traktował, to zapamiętanie i zaufanie do niego byłoby niewzruszone. Ale było nieraz, i raczej z jego strony, może zbyt wiele niewyrozumiałości, stąd też stosunki zaufania nieco się popsuły, choć zawsze czuliśmy i czciliśmy w nim nieustraszonego wyznawcę i obrońcę wiary „polskiej“.

Ten incydent solidarnego wystąpienia z modlitwą polską, przedtem niemożliwy, zwrócił uwagę dyrektora, że coś się dzieje przed nim ukrytego, co wyłamuje się z pod jego władzy.

Ale taka już tresura w konspiracji była osiągnięta, że nic dociec nawet przez swoich uczniowskich szpiegów nie potrafił.

Kółko coraz bardziej powiększało się: zaczęte w 5-ej klasie (1880 r.), gdy przeszedłem do 6-ej oczywiście utrwaliło się i w 6-ej, ale i w 5-ej utworzyło nowy związek; starszych klas 7 i 8-ej nie wciągaliśmy; patrzeli na nas zgóry i wyrosli w innym nastroju, raczej używania życia lekkiego, nie nadawali się do tej kółkowej konspiracji. Zebrania kółka, gdy nas było z początku kilku, potem kilkunastu, odbywały się najpierw w ogródku, w domu kolegi Franka Głowackiego, potem u mnie, potem u innych kolegów, zmieniając miejsca zebrań, ażeby nie wzbudzić podejrzeń, potem w 1881 r. (gdy byłem w 6-ej klasie) odbywały się w domu p. Ratomskiej, matki kolegi z 5-ej klasy Rajmunda, która mieszkała w obszernej willi z ogrodem przy ulicy

Wizytkowskiej. Rajmund miał obszerny dla siebie pokój w suterrenach tej willi, do których zstępowało się po schodach, zasłanianio okna w tym pokoju, żeby nikt nie mógł nas spostrzec, i tu, w tej atmosferze podziemia, przy zasłoniętych oknach, przy świecach, w tym tajemniczym uroku spisku— odbywały się nasze zebrania, już coraz liczniejsze.

Jakież rozkoszne i miłe, pomimo niebezpieczeństwa wykrycia, czy przez dyrekcję szkoły, czy przez policję, były te zebrania! Dzisiaj jeszcze, po latach 50-u odczuwam cały urok tych chwil niezapomnianych, gdzie, sądząc się wolnymi od oczu dyrekcyjnych, zapominaliśmy o codziennych udręczeniach owego rosyjskiego „wychowania państwowego“! Doznawaliśmy tam dużego odprężenia moralnego od tego codziennego nacisku, codziennego udawania, do którego zmuszani byliśmy, od tej narzuconej chwalby nienawistnych nam, historycznych postaci rosyjskich z przeszłości i teraźniejszości, od tego kłamania wyrazów czci, które zmuszano nas powtarzać. Pamiętam, jak musieliśmy się uczyć różnych wierszydeł rosyjskich, na cześć Skobelewa, Kutuzowa, uwolnienia Moskwy od Polaków, wiersza Puszkina „*Klewietnikam Rossiji*“ (Oszczyrcom Rosji), i tam słynnego tego czterowiersza: „*kto pobiedit, kiczliwyj Lach, il wiernyj Ross, słowianskija ruczji soljutsia w russkom morie, ono-l izsiakniet, wot wopros*“ („kto zwycięży, nadęty Polak, czy wierny Rosjanin, czy słowiańskie potoki zleją się w ruskiem morzu, czy ono wyschnie, oto pytanie“). Gdy zamach na Pałac zimowy nie udał się, nauczyciel nasz rosyjskiego, Tołubiejew napisał wiersz, sławiący to ocalenie carskie, którego jedną strofę pamiętam, kiedy dziękuje Bogu, że nam „*świątłych dniej nie pomracił*“ (było to przed Wielkanocą).

Od tych narzuconych nam chwaleb, zachwyków, oficjalnej prawomyślności, w tych suterenach swoich byliśmy wolni — i to nam dawało niesłychaną radość życia, choć na krótką chwilę.

Oparcie dla tych zebranych tajemnych dawało nam kilka domów: mojej matki (ojciec od 8-u lat nie żył), pp. Głowackich, pp. Brzezińskich i najbardziej p. Ratomskiej; domy reszty rodziców, więcej zależnych od władz rosyjskich, bały się nas przytulać: jeszcze nie tak odległe były czasy powstaniowych i popowstaniowych represyj, rewizyj, aresztów, zsyłek i t. d. Wydało to zaś w sposób nieuchronny i ten niepożądany skutek, że takie spiskowanie, przeradzając się w bytowanie codzienne, nie umiało w porę odróżniać pewnej wyjątkowej, chwilowej konieczności tajnej konspiracji od możliwości jawnej pracy, tak że później tam, gdzie była możność prowadzenia jawnej roboty, przez nałóg dalej konspirowano: żartowano z jednego takiego nałogowego konspiratora, że on nawet koniczynę u siebie sieje konspiracyjnie. Było to wszakże i jest zawsze wynikiem niezdrowych, anormalnych stosunków, które prowadzą zwykle, gdy dłuższy czas trwają, do pewnego rodzaju wynaturzenia.

Nie byliśmy jeszcze w tem stadium konspiracyjności i życie samo, silniejsze od formułek doktrynerskich, te sprawy na właściwy, zdrowy tor naprowadzało, ale nie można zaprzeczyć, że niebezpieczeństwo pewnej psychozy, przy dłuższem trwaniu anormalnych stosunków politycznych czy narodowych, musi zawsze grozić, wywołując dezorganizację samego życia...

Oczywiście, zdawaliśmy sobie sprawę z nienormalności owych stosunków, spoglądając z zazdrością na ówczesną młodzież angielską, francuską czy inną

w wolnem społeczeństwie, mogącą żyć pełnem, młodem życiem, ale czuliśmy zarazem, że innego wyjścia dla nas poza konspiracją niema, bo inaczej grozi nam powolny upadek moralny w służalstwie i poddańczości, w zatraceniu godności ludzkiej. To też, czując to, rozpaczliwie broniliśmy się przed zapadnięciem w to bagno moralne.

Powoli zdobywaliśmy się, poza samokształceniem samowiedzy narodowej, na coraz ściślejsze zespolenie koleżeńskie, dawniej bardzo luźne: z tych groszowych, biednych, uczniowskich składek formowała się tajna polska biblioteka, gromadziły się czasem i pokaźne składki, np. na pomnik Mickiewicza w Krakowie (mam jeszcze pokwitowanie Komitetu z Krakowa z podpisem p. Ożoga) i na rozmaite cele. W jesieni 1881 r. zdobyło się kółko na wysiłek urządzenia tajnej rocznicy Listopadowej i Mickiewiczowskiej w salonie p. Ratomskiej. Dla Lublina była to niezwykła i nieznana rzecz i, chociaż osób zaproszonych i nam przychylnych było dosyć dużo, salon był do ostatka wypełniony, żadna wieść nazewnątrz nie przedostała się — władze szkolne i Siengalewicz nic o tem nie wiedziały. Z najlepszymi nadziejami wkroczyliśmy na jesieni w r. 1882, gdy przeszliśmy do 7-ej, a 5-a i 6-a miały już swoje oddziały kółka, tak że ogółem ilość zakonspirowanych dochodziła do przeszło 50-u. Już coraz trudniej było gromadzić się w takiej liczbie bez zwrócenia uwagi. Dochodziły nas wieści, że Siengalewicz coś zaczyna czuć i rozciąga swoją sieć.

8. WYKRYCIE KÓLEK PRZEZ SIENGALEWICZA, ŚLEDZTWO I WYROKI

I oto w dzień Zaduszny 1882 r., gdy byliśmy w kościele na nabożeństwie, ktoś przybiegł do kościoła z wieścią, że Siengalewicz pociągnął do siebie na górę do mieszkania kilku uczniów. Zrozumieliśmy, że nadchodzi chwila stanowczej rozprawy z kółkiem. Istotnie, po nabożeństwie zaczęto po kolei, jakby ze spisu członków, powoływać na śledztwo, jednakże z pytań zadawanych widocznem było, iż wiedzą, że się zbieraliśmy, ale nie wiedzą, cośmy robili. I wtenczas się wydało, że jeden z uczniów, nasadzony przez Siengalewicza do śledzenia, idąc ze znanymi sobie kolegami w niedzielę, gdy się przed południem zebrania te u Ratomskiego odbywały, doszedł do tej willi, wdrapał się na drzewo w ogrodzie i stamtąd nazwiska wchodzących zapisywał i spis ten Siengalewiczowi doręczył.

Niektórzy zaczęli na tem śledztwie „śpiewać“, i powoli, choć nie wszystko, wydobył z tych zeznań Siengalewicz, żeśmy się tam polskich rzeczy uczyli. Dobrał się i do mnie — starałem się nic nie wydać, ale mnie podszedł, mówiąc: „Ja też w waszych latach to samo robiłem, ja to rozumiem, to naturalne, więc powiedz mi tylko szczerze, jakieście to robili i poco tać się z tem?“ Na to ja nieostroźnie bąknąłem: „No więc jakże, mieliśmy nic nie umieć po polsku?“ Na to on, jak dziś widzę jego djabelsko uradowaną minę: „A więc czytaliście polskie,

niedozwolone pisma, mam wasze przyznanie się!" Szybko już potem zakończył śledztwo i z miejsca kilku nas ze szkoły wydalił, między nimi Ratomskiego, Brzezińskiego i mnie, a resztę oddał pod sąd Rady pedagogicznej, która od siebie znów badanie przeprowadziła. Zrobiła się afera duża: przeszło 50-ciu uczniów z 3-ich wyższych klas, wciągniętych do sprawy, nadało jej w mieście niezwykle rozgłos przez same rodziny, pociągnięte do sprawy celem wyjaśnień. Sprawa filaretów lubelskich, jak zaczęto nas nazywać, poszła do Warszawy. Trzeba się było jakoś ratować. I dzięki czcigodnemu profesorowi Chałubińskiemu, teściowi mojego brata, stępiono jej ostrze. Brat profesorowej Chałubińskiej, był lekarzem warszawskiego korpusu żandarmerii, a stąd przyjacielem gubernatora lubelskiego Stamierowa, poprzednio będącego naczelnikiem kancelarii generała-gubernatora warszawskiego Albedyńskiego. Stamierow dostał od niego list z prośbą o załagodzenie sprawy. Zostałem wezwany pewnego dnia do gubernatora, a byłem już 3 tygodnie wydalony, zapytano mnie, co za sprawa i za co zostałem usunięty; ponieważ zaś formalnie Rada pedagogiczna po wydaleniu mnie przez Siengalewicza, już mnie nie badała, odpowiedziałem, że nie wiem, domyślałem się tylko, że chodzi o zebranie, na którem uczyliśmy się języka polskiego. Na drugi dzień Stamierow zawezwał Siengalewicza i, jak słyszeliśmy, polecił mu, według wskazówek z Warszawy, załatwić tę sprawę możliwie łagodnie. To też po tygodniu zawezwany zostałem do wysłuchania wyroku Rady pedagogicznej, mocą którego Ratomski, jako udzielający lokalu na nielegalne zebrania, został relegowany, ale z prawem wstąpienia do innego gimnazjum, ja dostałem nagane, obniżenie stopnia ze sprawowania na 4 (przy 3—wy-

dalano) i, o ile pamiętam, kilkunastogodzinny karcer, bo przez szereg niedziel musiałem po 3—4 godziny go odsiadywać, a oprócz tego, co było najcięższą karą, zostawiono mnie na drugi rok w 7-ej klasie. Innych członków ukarano też naganą i karcerem mniej długotrwałym¹⁾. Sprawa ta podniosła widocznie naszą renomę, choć wielu starszych, oczywiście z bojaźni dalszych złych skutków w karjerze, robiło nam gorzkie wyrzuty wciągnięcia w te konspiracje. Oczywiście, trzeba było przerwać zebrania, bo dozór był coraz ściślejszy i, znając nasze nazwiska, śledzono nas wyraźnie. Wielu też się bało.

¹⁾ Księgi protokołów, a w niej powyższego wyroku Rady pedagogicznej w Archiwum Państwowym Lubelskim, niestety, nie znaleziono teraz. Widocznie zostało w 1915 r. wraz z innymi papierami wywieziono przy ustąpieniu Moskali z Lublina.

9. NOWE TAJNE PISMO UCZNIOWSKIE: „OGNISKO KOLEŻEŃSKIE“

TRZEBA było jednak dawną współpracę inaczej podtrzymać, gdy zbierać się było już niepodobna. Założyliśmy więc po pewnym czasie pismo tajne uczniowskie p. t. „Ognisko Koleżeńskie“ (w 1882/83), którego mi pozostało 6 numerów; pismo było samo pisane, cyklostylu, ani maszynowego pisma jeszcze nie znano. Warunki prenumeraty opiewały w nagłówku: „pod słowem honoru nikomu nie mówić, do klasy nie nosić, dłużej, jak dzień jeden numeru nie trzymać“.

Artykuł wstępny: „Do Kolegów” w nr. 1 tak tłumaczy przyczynę, powodującą do wydawania pisma: „Dla nikogo zapewne nie jest tajem, jaka apatja, jaka senność umysłowa ogarnia powoli nas wszystkich. Jedni to tłumaczą wywieraną na nas presją władzy szkolnej, drudzy zaś widzą w tem reakcję po dawnych naszych koleżeńskich zebraniach. Nie przeczymy temu, lecz sądzymy, że jednak jest coś głębszego, co powodowało i powoduje ciągle, że nie umiemy się skutecznie oprzeć presji szkolnej i że ulegliśmy reakcyjnemu prądowi i dajemy mu się ciągle unosić. Tem „czemś“, mniemamy, jest brak spójnika łączącego nas. Wielu z nas jest kolegami tylko imieniem, ale nie sercem. Wielu z nas idzie samopas, potworzyły się znowu koterje, koteryjki, żyjące tylko z sobą. Tę spójnię dawną, tę solidarność chcemy napowrót wytworzyć. A że

nie istnieją koleżeńskie zebrania i istnieć w obecnym czasie nie mogą, które funkcję łączenia dawniej spełniały, mniemamy, że z równą korzyścią spełni może te zadanie pismo, poświęcone sprawom koleżeńskim. Będziemy więc poruszali wszystkie kwestje z życia uczniowskiego. Zawiązane stosunki z innemi gimnazjami dadzą nam możność pomieszczania wiadomości z różnych ognisk koleżeńskiego życia. Będziemy starali się umieszczać także sprawozdania i krytykę dzieł, mających społeczną ważność i dotyczących się wielu palących kwestyj i t.d.“

O charakterze i kierunku tego szkolnego pisma lubelskiego z tych czasów mogą powiedzieć choćby same tytuły zamieszczonych tam artykułów, których tu kilka notujemy: W nr. 1: 1) „Do Kolegów“ wstępny ów artykuł o potrzebie takiego pisma, 2) O solidarności koleżeńskiej, zwłaszcza pomocy wzajemnej w naukach i przy egzaminach, 3) Komisja do spraw języka polskiego (o przestrzeganiu obowiązku chodzenia na lekcje języka polskiego), 4) Korespondencja z progimnazjum w Zamościu, 5) Sprawozdanie z wydawnictwa „Wędrowca“ p. t. Kosmografia, 6) Kronika bieżąca — o ogłoszonym przez pismo konkursie na napisanie rozprawki „O Konstytucji 3-go Maja“. W nr. 2 były następujące artykuły: 1) Nasze grzechy: 1) Cynizm, 2) O lichwie żydowskiej, która trapi często uczniów gimnazjum i o konieczności założenia Kasy Kredytowej uczniowskiej, 3) My i oni — (o przyciągnięciu egoistów, nie żyjących koleżeńskiem życiem), 4) Jakim jest, a jakim powinien być korepetytor, 5) O prawdę (w sprawie Komisji do języka polskiego, m. i. o karze cielesnej na kolegów, nie uczęszczających na lekcje polskie), 6) W sprawie nauki Fizjologii, potrzeby poznania jej wymogów dla zdrowia, 7) List do Redakcji o potrzebie poruszania w piśmie tylko

spraw koleżeńskich. W nr. 3 były następujące artykuły: 1) Szalona myśl (o potrzebie letnich kolonij dla uczniów, pochodzących z miast), 2) Projekt ustawy Kasy Wzajemnej Pomocy, 3) Nad przepaścią (wiersz, utwór jednego z kolegów), 4) Jakim jest korepetytor, a jakim być powinien (dokończenie), 5) Kronika bieżąca: Znowuż o konkursie na rozprawkę: „O Konstytucji 3-go Maja“. O wystawie obrazu Gersona w Lublinie, 6) Dział humorystyczny: Najnowsze zdobycze nauki (Maszyny i narzędzia, nadesłane do mającej się utworzyć komisji do spraw języka polskiego z karą cielesną, z rysunkami tych maszyn). Nr. 4 zaginął. W nr. 5 były następujące artykuły: 1) Nasze grzechy: III) Egoizm (widocznie w nr. 4 był pod II jakiś inny grzech uczniowski), 2) Odpowiedź nadesłana na artykuł w nr. 4, w sprawie Działu humorystycznego, protestujący przeciw ośmieszaniu owej Komisji do spraw języka polskiego, 3) W sprawie Kasy Kredytowej, żądający przyspieszenia jej utworzenia (założono ją wkrótce), 4) Kronika książek, gdzie pomieszczono spis 54 książek, które mogą być wypożyczone z tajnej biblioteczki uczniowskiej. Nakoniec w nr. 6 były: 1) Co zrobić powinniśmy przez czas wakacyj (o należytem obcowaniu z ludem, wystrzeganiu się miłosnych awantur z dziewczętami, o należytej lekturze i t. d.), 2) Recenzja z powieści „Sapho“ Daudet’a, 3) Mane-Tekel-Fares — pożegnanie przedwakacyjne pisma, przegląd poprzedniej pracy i nakoniec obawa, że pismo nasze upadnie jeżeli nie będzie spójni, stąd te wyrazy: Mane - Tekel-Fares, 4) Nadesłane — dalsza polemika w sprawie Działu humorystycznego i Komisji do spraw języka polskiego, 4) Kronika bieżąca: jeszcze o konkursie. To był ostatni numer, wydany przed wakacjami, w czerwcu 1884 r. Po wakacjach w 1884, nie pamiętam, czy pismo pojawiło się; zdaje się, że oba-

wy, iż nie będzie wychodzić, spełniły się, może nie tyle z braku spójni, którą pesymistyczny kolega przepowiadał, ile że to była już 8-ma klasa, rok matury, do której musieliśmy się specjalnie mocno przygotować, gdyż Siengalewicz wciąż zapowiadał, że zaledwie pewną część nas dopuści do egzaminu. Z powyżej przytoczonych cytata i tytułów artykułów pisemka przebija raczej nastrój moralno-obyczajowy, aniżeli polityczny, czy społeczny: chciano wpłynąć najpierw na wytworzenie i utrzymanie solidarności koleżeńskiej, wciąż przez system terroru szkolnego nadwyrażanej i łamanej, uważając ją za najważniejszą sprawę, jak również chcąc wpłynąć hamująco na wkradający się coraz bardziej cynizm obyczajowy i sobkostwo (egoizm), pamiętające tylko o sobie, do czego konsekwentnie zmierzał cały system szkolny. Zaznaczyć należy, że, o ile pamiętam, tendencyj radykalnych lub socjalistycznych młodzież nasza wówczas nie objawiała; ponieważ powiew tych idei szedł od wschodu, był z pochodzenia rosyjski, już to samo od nich odstręczało i nie porywało. Pamiętam, że przywiezione i oddane nam z rozwiązanej biblioteki rówieńskiej (o czym było wyżej) przeważnie rosyjskie, radykalne wydawnictwa, chętnie, jako zakazane, były czytane, ale nie pociągały nas nadmiernie. Pracę dla ludu uznawaliśmy za obowiązek zwyczajny, to też w programie wakacyjnym mieliśmy ją na oku, ale pojmowaliśmy ją raczej, jako szerzenie oświaty narodowej, nie zaś jako robotę radykalną, agitacyjną.

Nie poruszaliśmy w pisemku spraw politycznych polskich, nie dlatego, żebyśmy ich nie odczuwali, tylko baliśmy się o tem pisać ze względu na odpowiedzialność przez to znacznie zaostrzoną: tak jeszcze terror działał, ale, oczywiście, ówczesny

ucisk kraju był tematem stałym wszystkich naszych dyskusyj.

Uderzające jest, że nie pisaliśmy nic w tem piśmie o stosunku naszym do kolegów Rosjan i żydów. Gdy sięgam pamięcią w te czasy, to przypominam sobie, że do kolegów-Rosjan stosunek nasz był nikły, raczej bierny, nie żyliśmy wcale z nimi, bojąc się w nich szpiegów, byli to synowie urzędników wyższych, nastawieni nieprzyjaźnie do Polski. Tylko z kilkoma z nich, którzy sami do nas zbliżyć się, mimo naszej niechęci, chcieli, niektórzy z naszych utrzymywali pewne stosunki: takim był synowiec gubernatora Stamirow (później spotkałem się z nim po 10-ciu latach na studjach w Lipsku, gdzie już wyraźnie przedstawiał się, jako liberał), Korneliuk, syn ubogiego djaka, Tatarow, syn popa—ten był najsympatyczniejszy, oraz Andriasz, syn kapitana żandarmerji, który zyskał odrazu pewne zaufanie przez to, że ojciec jego, ów kapitan, z powodu donosów Siengalewicza na ojca i syna do Ochrany, spoliczkował Siengalewicza. Była raz przelotna rozmowa poufniejsza z synem Naczelnika Dyrekcji Naukowej w Lublinie, Rublewskim, który kiedyś, rozpoczynając ze mną rozmowę o stosunkach politycznych, nagle wyrzucił z siebie zwrot: „czy myślicie, że nam jest lżej, niż wam“, co wskazywałoby na jakieś odczuwanie tego ucisku politycznego i co do siebie. Ale to były sporadyczne wypadki — pozatem żadnych prawie stosunków koleżeńskich nie było, coś mroziło nas do nich. Dopiero przed samą maturą, gdy chodziło o wspólne losy i zmagania się ciężkie na egzaminach, sami Rosjanie prosili nas o współdziałanie i pomoc przy egzaminach pisemnych, bardzo trudnych i specjalnie surowo przez Siengalewicza strzeżonych — i tośmy im przyrzekli i zrobili. Co do

żydów, przyznać trzeba, że specjalnego antysemityzmu nie było: nie odczuwaliśmy do nich wstrętu, ale też specjalnych objawów jednania się i współżycia nie było, już wtedy zaczynał się u nich specjalny ruch, jakby syjonistyczny: takimi byli bracia Weissbergowie, szczególnie Franciszek i Markus — poza tem dobrzy koledzy, Rosenthal, Rosenmann a inni żydzi raczej wchodzili w pewną, ale bojaźliwą asymilację. Tego żywiołowego ruchu antyżydowskiego, jaki się teraz wśród młodzieży naszej objawia, nie było, ale już prenumerowaliśmy (wielu z nas), nowopowstałą wtenczas „Rolę” — Jeleńskiego, czytaliśmy chętnie wówczas „Neofitów polskich” Teodora Jeske-Choińskiego — ta książka z onych czasów utkwiała mi w pamięci. Był więc ten ruch młodzieży przedewszystkiem odporny wobec rusyfikacji, wrogi naciskowi owego „wychowania państwowego”, moralno-obyczajowy, nieco wolnomysłny, — („Prawda” Świętochowskiego i „Przegląd Tygodniowy” Wiślickiego były chętnie prenumerowane i czytane), — trochę o zabarwieniu ludowem w duchu „Głosu”, ale przedewszystkiem wrogo nastawiony do wszelkiej rosyjskości i do wszystkiego, co ze wschodu idzie. Naprzykład, bojkutowaliśmy koncert jakiejś trupy śpiewackiej rosyjskiej, dlatego że rosyjska, wbrew pewnej, ale małej grupce (t. zw. „ugodowców”), która w imię kultury i sztuki „wolnej od nacjonalizmu” — namawiała do pójścia. Tak nam gruntownie Siengalewicz obrzydził rosyjską kulturę i sztukę.

10. OSTATNI ROK W SZKOLE —
OSTATNIE TARCIE Z SIENGALEWICZEM —
I WYZWOLENIE Z TEJ KAŻNI

SIENGALEWICZ, po rozbiciu naszego kółka tajnego, nie ustawał w dalszem śledzeniu nas i dalszem terroryzowaniu uczniów i ich rodziców. Był coraz więcej agresywny, gdyż, nastąpiły po kuratorze Wittem, kurator Apuchtin, znany ze swej nienawiści do polskiej kultury i najsroższy przedstawiciel systemu rosyjskiego wychowania państwowego, dawał mu jaknajwiększe poparcie: Siengalewicz był dla Apuchtina w przeprowadzeniu tego systemu jaknajlepszym współpracownikiem. To też odznaczenia i łaski z góry sypały się wciąż na Siengalewicza. Żadne skargi, nieśmiało zanoszone na niego przez udręczonych rodziców, żalących się o wypędzanie uczniów, nie znajdowały posłuchu. To jeszcze bardziej uzuchwalało Siengalewicza. Czuł się silniejszym od miejscowych przedstawicieli władz, a nawet silniejszym od żandarmerji i policji, zwłaszcza, gdy został członkiem tajnej „Ochrany”. Wówczas, jak dochodziły nas wieści przez synów tych urzędników rosyjskich, Siengalewicz rozpoczął nawet walkę z urzędami oraz z żandarmerją i policją, donosząc, że one nie dość stanowczo i silnie występują przeciw „polskiej kramole” (buntowi). Wdzieliśmy co parę dni zjawiających się oficerów żandarmerji na jakieś poufne narady z Siengalewiczem. Czy mu zdawali raporty, jako wyższemu ajen-

łowi „Ochrany”, czy od niego dostawali jakieś informacje, nie wiadomo było, ale te stosunki były ciągle i żywe. Siengalewicz nie zadowolił się działaniem na lubelskim gruncie, ale został użyty przez rząd do akcji na terenie zagranicznym, proces o zdradę państwa moskalofilki Olgi Hrabarowej we Lwowie, miał w tym czasie podobno wykazać dosyć wybitny udział Siengalewicza w agitacji moskalofilskiej w Galicji; pamiętamy przyjazd do Lublina ks. Naumowicza, b. księdza unickiego w Galicji, który tam przeszedł na prawosławie i jego narady w gmachu szkolnym z Siengalewiczem. Oczywiście wszystko to wzmacniało pozycję Siengalewicza w „Ochranie” tak, że zaczął coraz bardziej zadzierać z żandarmami, o czym wieści przenikały i do nas, ale uważaliśmy to za plotki. Jakież było nasze zdziwienie, gdy pewnego ranka przeczytaliśmy napis, wyskrobany na murze przy wejściu do bramy szkolnej: „Dyra dostał dziś w papę od Andriasza” — Andriasz był kapitanem żandarmerji, naczelnikiem powiatowym zarządu lubelsko-żandarmskiego, ojcem owego ucznia lubelskiego gimnazjum. Podobno Andriasz, znecierpliwiony owemi ciągłemi donosami na siebie przez Siengalewicza, nie wytrzymał i, przyszedłszy do mieszkania dyrektora, spoliczkował go.

Sprawę zatuszowano — Andriasza gdzieś przeniesiono, tylko uczniacy mieli nareszcie dużą satysfakcję, że ich znienawidzony dyrektor otrzymał za swoje. Ale to go nie powstrzymało. Słynna była także wówczas sprawa studenta Uniw. Warsz., Żukowicza, syna wyższego urzędnika w Lublinie, którego brata Siengalewicz sekował. Gdy nie pomogły odwoływanie się do kuratora Apuchtina, student Żukowicz poszedł (w 1884 roku) na audjencję do Apuchtina i tam go wobec zebranych petentów spoliczkował, mówiąc: „To za Siengalewicza”. Wybuchły

wówczas rozruchy studenckie przeciw Apuchtinowi i wielu wydano. Siengalewicz pomimo tego pozostał dalej groźnym, dokuczliwym — coraz więcej dochodziło nas wieści, że pewny bezkarności zaczyna coraz mocniej trapić zamożniejszych ojców—Polaków żądaniami swoistych łapówek; na przykład: dostawcy jakichś materiałów (drzewa, węgla) do szkoły, rzemieślnicy, wykonywający roboty dla szkoły, a mający dzieci w gimnazjum, podobno zmuszani bywali do podpisywania kwitów za odebrane rzekomo pieniądze, a pieniędzy nie dostawali: stanowiło to uboczny dochód dyrektorski. Czy była to prawda i w jakich rozmiarach to było praktykowane, nie wiadomo, ale te wieści wciąż uporczywie szerzyły się, i podobno one to przyczyniły się do obalenia, ale już w późniejszym okresie, już po mojem wyjściu z gimnazjum, Siengalewicz ze stanowiska dyrektora i przeniesienia go na cenzora w Warszawie.

Tu zanotuję jeszcze ostatnie moje z nim konflikty, które zagroziły mi bardzo wyraźnie nieotrzymaniem matury. Pewnego razu wspomniany powyżej Tołubiejew, który zaawansował z nauczyciela na inspektora gimnazjum, zauważył u mnie, że z 9 guzików munduru mam 3 czy 4 nie zapięte. Przepisów w § 1 wyraźnie wymagał zapięcia na wszystkie guziki. Widocznie zapomniałem je dopiąć. Tołubiejew zdał o tem raport Siengalewiczowi, a ten z miejsca kazał mi iść do domu, to znaczy wydalil, i zwołał Radę pedagogiczną na osądzenie mnie za tę niesubordynację i ukaranie. Oczywiście szukano pozoru, żeby ze mną skończyć, bo we wszystkim bardzo się pilnowałem, ale dyrektor podejrzewał, że jestem jednym ze sprawców odpornego stanowiska uczniów.

Trzeba było odwołać się znów do pomocy czcigodnego profesora Chałubińskiego, a szczęśli-

wie dla mnie złożyło się, że dyrektor zachorował na *miserere* i pojechał szukać porady do Warszawy, do Chałubińskiego. Wówczas profesor jakoś w rozmowie wpłynął na niego, żeby mnie zostawił w spokoju.

Rada pedagogiczna jednak, chcąc mnie ukarać, a czekałem w domu wówczas, wydalony, na pozwolenie powrotu do szkoły, uchwaliła¹⁾, ażebym opuścił dom Matki mojej, jako nie dający mi (jak się wyrażano) pewnego moralnego oparcia, i przeszedł pod dozór bezpośredni jednego z nauczycieli, zamieszkując u niego na stacji. Pod tym warunkiem pozwolono mi zostać (w 8-ej klasie) w gimnazjum. Zaczynając profesor Polak, Doborzyński zdecydował się przyjąć mnie na stację, bez prawa wychodzenia i odwiedzania Matki, na innej ulicy tylko mieszka-

¹⁾ Przytaczam wyciąg wierzytelny z Archiwum państwowego w Lublinie: (Przekład z rosyjskiego).

„Wiadomości (świadzenia) o uczniach gimnazjum lubelskiego, którzy ukończyli pełny kurs nauk w r. 1885. (Rodzaj ówczesnej kartoteki, odnalezionej obecnie w Archiwum państw. Lubelskiem). (W dn. 15 listopada 1885 r.):

Nr. 13. Surzycki Stefan Jan Joachim (3 imion). W świadectwie dojrzałości notowany: sprawowanie dobre, aczkolwiek bardzo często zauważano co do niego uchylanie się od przepisów szkolnych i złe dążności. Dalej następuje na sąsiedniej stronie długi ustęp pod tytułem:

Informacje co do abiturjenta, wymagane według rozporządzenia Min. Oświaty z 12 stycznia 1880 r. nr. 16:

Zdolności dobre, oddaje się nauce należycie. Pochodzi ze skrajnie fanatycznej polskiej rodziny. Zły sposób jego myślenia zmusił gimnazjum w r. 1884 do zabrania go z domu matki wdowy i do oddania go na stację uczniowską w celu zarządzenia nad nim dozoru. Dążył, jako Polak, do wywierania wpływu na kolegów i skłonny jest do mrzonek. Okoliczność ta przyczyniała szkole niejednokrotnie niepokoju, jednakże nie było faktów wydatniejszych, któreby dały podstawę usunięcia go z zakładu. Naogół powinien być uznany za stanowczo szkodliwego i wymaga nieustannego śledzenia i on i towarzystwo, w którym się będzie obracał. (Podpis nieczytelny, zapewne Siengalewicz)^a.

(Te informacje wysyłano do władz).

jącej. Musiałem to zrobić i przez pół roku od jesieni do wiosny byłem na stancji profesora — ojca mojego kolegi, o którym z początku mówiłem — i oczywiście nie chcąc narażać profesora na jakieś przykrości ze strony Siengalewicza, musiałem być bardzo ostrożny. To były najgorsze, końcowe chwile mojego pobytu w gimnazjum, gdyż Siengalewicz nie przestawał mi ciągle zarazem grozić, że mi matury nie da. Napisała więc Matka moja do mojego starszego brata, który wówczas był dyrektorem naczelnym Putiłowskich fabryk w Petersburgu, ażeby mnie wziął do siebie i ażeby w petersburskiem gimnazjum mógł skończyć i maturę otrzymać. Przez swojego kolegę w zarządzie, Dyrektora Banku Międzynarodowego w Petersburgu, p. Antoniego Laszkiego, dobrze znającego ówczesnego wiceministra oświaty ks. Wołkońskiego, uzyskał brat obietnicę przyjęcia mnie do gimnazjum w Petersburgu przed wiosną w 1885 r. — na kilka miesięcy przed maturą. Poszło pismo z Ministerjum Oświaty (t. zw. *zaproś*) do dyrektora Siengalewicza z zapytaniem o mnie. Wówczas Siengalewicz, trochę przestraszony tem pismem i zwróceniem stamtąd uwagi na mnie, zawezwał mnie do kancelarji i polecił mi napisać oświadczenie, że zamierzam skończyć gimnazjum tylko pod dyrektorem Siengalewiczem i nie chcę się do Petersburga przenosić. Powiedział mi poza tem: podpisz to, a będzie spokój, przytem zaraz się upewnił, że Matka napisze list do profesora Chałubińskiego, żeby znów go zechciał przyjąć i zakończył bardzo charakterystycznym powiedzeniem: *manus manum lavat*. Potem już się uspokoił — nie nękał mnie i ja nabyłem dopiero wtedy pewnej nadziei, że może mi się uda skończyć szkołę.

Ale i tu, przy samym prawie końcu o mało się nie rozbiłem o pewną nieprzewidzianą rafę. Na

wiosnę (zdaje się w kwietniu 1885 r.), umarł czcigodny, przez wszystkich uwielbiany i kochany ks. Biskup Wnorowski, (nawet przez Moskali — córki komenderującego generała w Lublinie, Wierowskina, jak mówiono, przeszły tajnie na katolicyzm z uwielbienia dla ks. biskupa). Ksiądz Biskup był dawniej więźniem stanu: należał z moim Ojcem do t. zw. sprawy księdza Ściegiennego, którego przy amnestji wówczas zwolniono z wygnania na Syberji i pozwolono mu mieszkać w Lublinie. Biskup go przytulił i był mu zabezpieczył. Dzięki tej wspólnej sprawie politycznej z moim ś. p. Ojcem, za którą Ojciec mój przesiedział 3 lata w Cytadeli Warszawskiej i w twierdzy w Zamościu, miałem szczęście poznać bliżej ks. biskupa, który przypomniiał mi te wspólne z Ojcem przeżycia. Oczywiście, dla nas młodych ks. Biskup, jako więzień stanu i męczennik za sprawę narodową, jak i dla wszystkich wogóle w Polsce, był osobistością najbardziej wówczas czczoną. To też śmierć Jegó, na nagłe zapalenie płuc, zrobiła niezmierne wrażenie. Zarządzono ze strony miasta i obywatelstwa jaknajszersze przygotowania do najwspanialszego pogrzebu. Istotnie pogrzeb ten stał się jedną z największych, żywiołowych manifestacyj narodowych. Władze z racji wielkiego szacunku, jakim ks. biskup otaczany był przez generała Wierowskina, nie tamowały zbyt tego powszechnego uniesienia do oddania ostatniego hołdu. Siengalewicz jednak i tu chciał ograniczyć udział młodzieży szkolnej jaknajbardziej. Wolno nam było tylko iść w szeregach na pogrzeb, zabroniono złożyć wieńca, wysłać deputację z nim i występować z szeregów. Ponieważ postanowiono w Komitecie Obywatelskim pogrzebowym, że trumna ze zwłokami ma być niesiona przez obywatelstwo, księży i włościanstwo, więc i my, uczniacy z 8-ej klasy postanowiliśmy,

wbrew zakazowi, i złożyć wieńce i wziąć udział w niesieniu trumny. Tak też zrobiliśmy. Gdy pochód pogrzebowy zakręcał z ulicy Krakowskie-Przedmieście na ulicę Cmentarną koło t. zw. „Kontrolnej Pałaty“, wystąpiło nas sześciu z szeregów, przemknęło się do trumny i zanim prezydent Lublina, Woliński, który kierował porządkiem przy niesieniu trumny, spostrzegł się, 6 chłopców odebrało trumnę z rąk obywateli i kilkanaście kroków poniosło. Widział to Siengalewicz z balkonu w „Kontrolnej Pałacie“. To też po pogrzebie wezwał nas do siebie, obrzucił wymyślanem za to postąpieniem, mówiąc: „*Wamby sledowało za to uszy obodrat*“ i jeszcze raz zagroził, że to odbije się przy maturze. Istotnie, dostałem ze sprawowania tylko 4 (dobry) na maturze, co mogło utrudnić mi przyjęcie na Uniwersytet. Ale to już były ostatnie podrygi złości Siengalewicza. Z końcem czerwca 1885 r. większość nas (oprócz kilku) matury otrzymało. Jakaż to była ulga, gdyśmy ten papier posiadli: po raz pierwszy poczuliśmy się ludźmi swobodnymi od terroru i nacisku! Zawziętość nasza na Siengalewicza była tak wielka, że żaden z nas, jak to było we zwyczaju, nie poszedł z pożegnaniem i czuliśmy niezmierną satysfakcję, gdy, spotykając się potem z nim na ulicy, nie potrzebowaliśmy kłaniać mu się, co bardzo odczuł, mówiąc do młodych, pozostałych jeszcze w szkole: „*ot idiet takaja swinja w chatatie i nie kłaniajetsia*“.

Ten koszmar ciemnienia długo jeszcze ciążył w umysłach naszych. Każdy później w Uniwersytecie przyznawał się, że nie prędko uwolni się od myśli, iż nie potrzeba już iść do szkoły z trwogą, co tam spotkać może od Siengalewicza.

11. LOSY SIENGALEWICZA, PRZEDSTAWICIELA SYSTEMU WYCHOWANIA PAŃSTWOWEGO I KONIEC SYSTEMU.

JAKIEŻ były dalsze losy Siengalewicza, jako przedstawiciela tego systemu wychowania państwowego?

Po wyjściu naszym z gimnazjum jeszcze szeregi lat pracował Siengalewicz w Lublinie, coraz bardziej nienawidzony nie tylko przez młodzież i starsze społeczeństwo polskie, ale nawet i przez Rosjan, którym, o ile zauważył u nich objawy „buntu“, dawał się też mocno we znaki. Podobno jego wymagania opłacania się były coraz większe i bezczelniejsze, to też niepodobna go już było, zwłaszcza po ustąpieniu Apuchtina ze stanowiska kuratora okręgu naukowego warszawskiego, głównego jego protektora, utrzymać na stanowisku dyrektora gimnazjum. Został więc przeniesiony na przeszło dziesięć lat przed wojną na stanowisko cenzora w Warszawie, gdzie również odznaczył się wielką dokuczliwością i tępieniem buntowniczego ducha przeciw ówczesnemu systemowi rządowemu; podobno i tutaj można było także trafić do niego i uzyskać ulgi w cenzurowaniu. Znając doskonale język polski i dążenia społeczeństwa, mógł często daleko lepiej, niż rdzenni Rosjanie, wczuwać się w sens i intencję autorów i niemiłosiernie kreślił wszelkie podejrzone o antyrządową myśl artykuły pism lub ustępy w książkach. Tak już, starzec

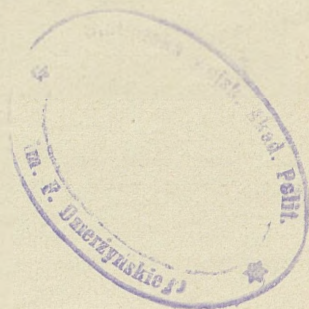
przeszło 80-letni, na emeryturze nareszcie dożywał swego wieku, gdy przyszła wojna światowa. W sierpniu 1915 r. ustąpiły władze rosyjskie. Wśród urzędników, którym polecono wraz z wojskiem opuścić Warszawę, zapomniano o nim, już emerycie. Zostawiono go, już starego, w dodatku chorego, niepełnego. Wszyscy o nim zapomnieli i ci, którym służył, a nawet i ci, przeciw którym służył. Nagle w 1916 (czy 1917) ogłosił, o ile pamiętam, adwokat warszawski Cederbaum ciekawy artykuł o Siengalewiczu—o jego ostatnich chwilach, o jego ostatniem wyznaniu. Nie mogłem tego artykułu obecnie odszukać w bibliotece Jagiellońskiej, ani w warszawskiej; o ile sobie przypominam, było to pomieszczone albo w tygodniku „*Liberum Veto*“, albo w „*Myśli Niepodległej*“, albo w jakimś tygodniku-efemerydzie, które w dobie okupacyjnej w Warszawie wychodziły. Otóż pamiętam tylko treść tych wyznań prześmiertnych Siengalewicza: wyrażał najgłębszą skruchę za to, co przez całe swe życie popełnił, przeklinał rząd rosyjski, który go na tę drogę gnębienia młodzieży skierował, przyznawał, że nic nie osiągnął, jeno powszechną nienawiść i żadnej korzyści dla systemu, który się w oczach jego walił. Prosił na tem łożu śmierci o przebaczenie, on, sam siebie nazywając odstępcą, renegatem. Niezmiernie szkoda, że mi ten numer tego czasopisma, zawierający to przedśmiertne wyznanie i skruchę zaginął. Może kto z czytelników go przypomni i zechce ogłosić: tak znamienna była ta skarga człowieka, przez całe swe życie ślepego wykonawcę systemu „państwowego wychowania“, a na łożu śmierci przeklinającego ten system.

Na Zjeździe lubliniaków z okazji 50-letniego trwania gimnazjum lubelskiego, odbytym w czerwcu 1925 r. w Lublinie, oczywiście poddano cały ten

system niegodny surowej analizie i krytyce. Pamiętam, że przypominano tam wówczas nazwisko chorążego Krylenki, „głównowiercha“ armji bolszewickiej, b. wychowanka gimnazjum lubelskiego z ery Sien-galewicza, a także i t. zw. towarzysza, bolszewika Mandelbauma, także z tej epoki — obu wychowañców rosyjskich, którzy mieli być słupem, podtrzymującym samodzierżawje rosyjskie, a stali się jego najzacieklejszymi grabarzami. Podobno ten Mandelbaum (syn kupca lubelskiego, były bolszewik, jak podaje „Myśl Narodowa“ w nr. 52 r. ub. za nr. 5 „Wstęgi“) wrócił do Polski, przedzierzgnął się obecnie w Polaka prosanacyjnego, już o zmienionem nazwisku, na Stefana Drzewieskiego, który jako pedagog polski jest teraz „pionierem wychowania państwowego“! Takie zmiany są b. znamienne.

SPIS RZECZY

	Str.
1. Specjalne metody wychowania państwowego dyrektora Siengalewicza	7
2. Przepisy Ministerjalne dla uczniów gimnazjum o zachowaniu się poza szkołą	13
3. Tresura moralna i umysłowa uczniów, przez ten system przeprowadzana	18
4. Wspomnienia szkolne Feliksa Brodowskiego o 2 typach szkół rosyjskich	22
5. Metoda liberalnego wychowania rosyjskiego w szkołach kresowych	27
6. Reakcja u samej młodzieży polskiej na te metody . .	31
7. Kółka konspiracyjne szkolne	35
8. Wykrycie kółek przez Siengalewicza, śledztwo i wyniki	43
9. Nowe tajne pismo uczniowskie: „Ognisko koleżeńskie“	46
10. Ostatni rok w szkole — Ostatnie tarcie z Siengalewiczem — i wyzwolenie z tej kaźni	52
11. Losy Siengalewicza, przedstawiciela systemu wychowania państwowego i koniec systemu	59



(4)



39600/

2